

HANNA SAMSON

# Mitość

*reaktywacja*



Hanna Samson

# MIŁOŚĆ. REAKTYWACJA

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-81-6

Copyright © Hanna Samson

Projekt okładki: Olga Bołdok

*Mojej córce Kasi*

## **Spis treści**

[Przyjazd](#)

[Choroba](#)

[Wspólne mieszkanie](#)

[Przeszłość](#)

[Życie umyka](#)

[Wyjazd do P.](#)

[Małżeństwo](#)

[Znowu w W. i nowe pomysły](#)

[Mama odchodzi](#)

## Przyjazd

Mama. Ta sama mama, która jeszcze niedawno jednym spojrzeniem sprawiała, że dreszcz przebiegał mi po plecach, niepostrzeżenie zmieniła się w osobę wymagającą opieki. Moja potężna matka stała się nagle, choć może nie tak nagle, ten proces trwał już od jakichś dwóch, trzech lat, nim doprowadził ją do tego momentu, w którym bezsprzecznie wymagała opieki, a więc nie tak nagle, ale jednak ku jej i mojemu zaskoczeniu mama stała się niesamodzielna. Ona w innym mieście, ja w innym, od dawna chciała, żebym przeprowadziła się do niej, ale na to się zgodzić nie mogłam. Już nawet nie o to chodzi, że w jej domu byłabym nikim innym jak tylko jej córką, a wiele lat zajęło mi, żeby się od tej roli uwolnić, żeby stać się kimś innym, aniżeli tylko jej niezbyt udaną córką, ale palicho, w tej sytuacji pewnie zdobyłabym się na powrót do nigdy nie dość dobrze opanowanej roli córki i zamieszkała u niej, ale nie mogłam, bo musiałam pracować. Ta prosta konieczność zdejmowała ze mnie obowiązek mierzenia się z powinnością powrotu do starej roli, bo przecież nawet to, że byłabym opiekunką mamy, nie zmieniałoby faktu, że przede wszystkim byłabym jej dzieckiem, które mieszka w jej domu. Los sprawił jednak, że miałam pracę, o jakiej w P., gdzie ona mieszkała, nie mogło być mowy. – Mamo, przecież nie chcesz chyba, żebym była na twoim utrzymaniu? Wyobrażasz sobie, jakbyśmy razem z Julką żyły z twojej emerytury? Ten argument ją przekonywał, co nie znaczy, że zamykał jej usta. Ilekroć byłam u niej, a zdarzało się to coraz częściej, bo mama coraz bardziej potrzebowała opieki, nim w końcu stało się jasne dla nas obu, a przynajmniej dla mnie, bo ona jeszcze długo nie przyznawała się do tego, że sama już sobie nie radzi, więc ilekroć byłam u niej, tylekroć mówiła, jak to byłoby dobrze, gdybym tu została, wzbudzając tym we mnie poczucie winy i złość, że nie chce zrozumieć tego, co oczywiste. Przecież wiesz, mamo, że to niemożliwe, krzyczałam w końcu, przecież chciałam z nią być, wiedziałam, że jestem jej potrzebna, ale nie mogłam zrezygnować ze swojego życia, nawet nie to, gotowa byłam zrezygnować ze swojego życia, jasne, że należy zająć się własną matką, kiedy ta potrzebuje opieki, ale bez pracy tej opieki i tak bym jej nie zapewniła. To ty zamieszkać z nami, mamo, mówiłam, ale ona broniła się teorią o nieprzesadzaniu starych drzew, na której potwierdzenie zbierała coraz to nowe dowody, że ta czy owa pojechała do córki i z tęsknoty za domem po kilku latach umarła. A ile miała lat, mamo? – pytałam, a ona odpowiadała, że 83, 87 albo 90. Mamo, przecież w tym wieku ludzie umierają, gdyby została u siebie w domu, też by musiała umrzeć. A skąd wiesz, czy nie żyłaby jeszcze pięć albo dziesięć lat? Tobie wydaje się, że to bez znaczenia, a dla mnie każdy rok się liczy, mówiła mama i wyrażała wiarę, że kiedyś uda mi się znaleźć rozwiązanie, nie wymagające jej wyjazdu z P. Ale ja nie umiałam go znaleźć. Miałam różne pomysły, jak choćby ten, żeby z mamą zamieszkała opiekunka albo jakaś znajoma, ale o tym, by zamieszkał z nią ktoś obcy, mama nie chciała słyszeć. W końcu, przygnieciona swoją coraz to większą niemocą i gorączką, cholerną gorączką, która nachodziła ją w dowolnym momencie i nie ustępowała pod wpływem żadnych leków, mama skapitulowała i zdecydowała się na jakiś czas do mnie przyjechać. Żeby odpocząć, obkupić się i zrobić badania.

– Mamo, to będzie twój pokój – wprowadziłam ją do mojego pokoju, który na czas pobytu oddawałam do jej dyspozycji. Patrzyłam na łóżko z barwną pościelą, na tulipany na nocnym stoliku, na lampkę rozjaśniającą przestrzeń ciepłym światłem, dumna z siebie, że umiałam zadbać o wszystko, że w końcu stanęłam na wysokości zadania, jakie życie stawia przed córką. Tu masz szafkę, tu fotel, tu szuflady. Ta półka w szafie jest twoja, a tu powiesimy twoje rzeczy. Mama wyglądała na zadowoloną. Ze wzruszeniem patrzyłam, jaka jest maleńka, starzy ludzie kurczą się w sobie i jej to nie ominęło. Opierając się na kuli, przechylona na jedną stronę, przechadzała się po domu, a ja patrzyłam rozczulona, jak

drepcze z kąta w kąt, taka drobna w moim za wysokim dla niej mieszkaniu. Wszystko było tu dla niej trochę za duże, drzwi za wysokie, lustro za wielkie, na tle okien wydawała się małą dziewczynką. Ale ona przechadzała się po domu wyraźnie zadowolona. Patrzyła na ściany, na sufit, na lampy, siadała na kanapie i w fotelu i znów przechadzała się, wyraźnie zadowolona z tego, że mieszkam tak jak mieszkam.

– To porządne mieszkanie – powiedziała w końcu. – Takie jak przed wojną. Cegła, grube mury, wysokie. I dobrze urządzone. Oryginalnie, bez tych meblościanek, które mają wszyscy. A ja słuchałam dumna i z siebie, że dorobiłam się takiego mieszkania, i z niej, że potrafi to docenić. Objęłam ją ramieniem i powiedziałam: czuj się tu jak u siebie, mamó. To teraz też twój dom.

Mama łatwo przystosowywała się do każdego warunków. Aby oswoić przestrzeń, musiała jednak dokonać pewnych drobnych korekt.

– Ten fotel przestaw tutaj – powiedziała, wskazując fotel stojący przy biurku i służący mi do pracy. – Będę na nim siedziała, oglądając telewizję, bo na tej kanapie strasznie wieje.

– Co wieje, mamó? – zdziwiłam się – To są szczelne nowe okna.

– Ale wieje – mama krótko ucięła moją próbę podjęcia dyskusji. A stół przestaw tu, żebym mogła oglądać telewizję przy jedzeniu. Tutaj musisz postawić jakąś lampkę, o może tę, powiedziała, wskazując moją lampę na biurku. Zanurkowałam pod biurko, żeby wyłączyć ją z kontaktu i przestawiłam na mamy stolik stojący obok mojego fotela do pracy, w którym odtąd mama miała oglądać telewizję. Trochę martwiło mnie, że moje miejsce pracy zostało zdekompletowane, ale co tam, zależało mi przede wszystkim na tym, żeby moja biedna mama na starość dobrze się czuła u córki. Zresztą, po co mi miejsce do pracy, skoro odkąd pojawiła się mama, na pracę w domu nie miałam żadnych szans. Po pierwsze, telewizor grał bez przerwy, a jako że mama od dawna miała kłopoty ze słuchem, od których nawet najnowocześniejsze aparaty słuchowe nie mogły jej w pełni uwolnić, telewizor grał głośno, maksymalnie głośno, gdy wracałam po pracy do domu, jego ciche dotąd wnętrze wypełniały rozmowy telewizyjnych bohaterów. A po drugie, cały czas miałam co robić.

– Mamó, chcesz herbaty?! – krzyczałam, gdy mama kończyła kolację i wypila swoje ziółka, ale mama nie reagowała wpatrzona w ekran.

– Mamó – podchodziłam bliżej i pytałam głośno: Chcesz herbaty?! W końcu mama odrywała oczy od telewizora.

– Proszę? – pytała, jak ptak przekrzywając głowę, by lepiej zrozumieć znaczenie niewyraźnych dźwięków.

– Pytam, czy chcesz herbaty?

– Nie, dziękuję – odpowiadała zwykle mama, więc robiłam herbatę tylko sobie, siadałam, by ją wypić i przejrzeć gazetę, ale gdy zaczynałam czytać pierwszy artykuł, mama odwracała się od telewizora i mówiła:

– A wiesz, jednak bym się napiła. Ale niedużo, zrób mi najwyżej pół szklanki.

Gdy stawiałam herbatę przed mamą, okazywało się zwykle, że chciała mniej. – Mówiłam, że pół szklanki, o tyle – zaznaczała palcem prawidłową wysokość słupa cieczy. – Odlej resztę. Brałam szklankę i szłam wylać nadmiar herbaty do zlewu. Gdy siadałam, by wypić herbatę i przejrzeć gazetę, mama zwracała się do mnie.

– A wiesz, coś bym zjadła. Coś niedużego. – A co mamó? – pytałam, próbując doczytać jeszcze kilka zdań. – No nie wiem, chodzi za mną węgorz, kaszanka, salceson, salami – tu padała nazwa dowolnego produktu, a ich wspólnym mianownikiem było to, że nie było go w domu.

– Ha, ale tego nie ma – odpowiadałam, trochę zła, bo przecież mama wiedziała, co jest w lodówce, a trochę zawstydzona, że nie umiem sprostać jej oczekiwaniom. Nie umiałam. Wydawało mi się, że wiem wszystko o jej upodobaniach. Że chleb musi być tak cienki jak

podpaska Allways, że herbaty nie może być więcej niż pół szklanki i musi być jasna jak słomka, że jak salceson, to z drobnych kawałków, a jak kawa, to tylko Krönung, ale i tak mama zawsze potrafiła mnie zaskoczyć. Późny wieczór, lodówka pełna mięs, wędlin i ryb, na które mama wczoraj lub przedwczoraj wyraziła ochotę, a których ja ani Julka, zatwardziałe wegetarianki czułe na los zwierząt, od lat nie tykamy, ale znosiłam je teraz do domu całymi torbami, tylko pech chciał, że akurat tego, co dzisiaj za mamą chodzi, nigdy nie było w lodówce.

– Jutro kupię, mam, ale dziś może zjesz coś innego?

– A co jest? – pytała mama. – Chciałabym zjeść chociaż jakąś małą kanapkę, przecież nie mogę brać leków na pusty żołądek.

Wstawałam i otwierałam lodówkę: Jest boczek, smalec, grzybki, szynka, łosoś, sałatka, salceson, taki jak chciałaś z drobnych kawałków, są kabanosy, sery żółte, białe i pleśniowe... mogłabym wyliczać tak jeszcze długo, ale mama przerywała zniecierpliwiona.

– Och, na nic z tego nie mam ochoty, ale przecież muszę coś jeść. Może usmaż mi choć kilka naleśników.

Przesadam? Oczywiście. Mam skłonność do przesady. Nie zawsze był salceson z drobnych kawałków.

## Choroba

Siedzimy z mamą w izbie przyjęć, termin umówiony z profesorem, mam wszystkie dokumenty, tylko nie mam promesy z mamy kasy chorych. Profesor mówił, żebym nie zawracała sobie nią głowy, że przyjmą mamę jako nagły przypadek, to pozwoli ograniczyć formalności. Ale pani w rejestracji jest nieugięta. Mama siedzi ze spakowaną torbą wśród tłumu pacjentów, gotowa na pobyt w szpitalu, ja tłumaczę, że mama jest moim gościem i nagle źle się poczuła, to nagły przypadek i musi być przyjęta, ale bez promesy pani nie może jej przyjąć. Więc cała ta wyprawa, rozmowy z profesorem, rezerwowanie miejsca, namawianie mamy, to wszystko na nic? Nie mam odwagi jej o tym powiedzieć. Poczekaj, mam, chwilę, mówię i idę na poszukiwanie profesora. Co będzie, jeśli go nie ma? Może nawet nie być go w Polsce, profesor często wyjeżdża, może być nieuchwytny, pewnie nawet nie pamięta, że to dziś mama miała się zjawić, jego sekretarka każe mi czekać, tłumaczę, że nie mogę czekać, bo mama siedzi w izbie przyjęć i nie ma promesy... Jak to nie ma promesy? Bez tego nie możemy jej przyjąć, profesor na pewno pani mówił, że jest konieczna. Nie, wręcz przeciwnie, mówił, że nie jest potrzebna, jeszcze się upewniałam, ale nie zamierzam z nią dyskutować, w końcu udaje mi się wdrzeć przed oblicze profesora. – Nie masz promesy? Przecież mówiłem ci, że będzie konieczna. O Boże, nieźle się zaczyna, chętnie bym stąd wyszła, ale nie mogę odpuścić, fakty są takie, że nie mam tej cholernej promesy, a mama siedzi w izbie przyjęć i bez sensu byłoby ją odwozić do domu. Profesor wpada na pomysł, że może ją przyjąć jako nagły przypadek, idzie ze mną na izbę przyjęć, mówi coś pani w rejestracji i mama będzie przyjęta. Żegnając się ze mną, profesor całuje mnie w policzek, jestem mu za to wdzięczna, mama widzi ten znak naszej poufałości, niech wie, że nie będzie tu wśród obcych, będzie nad nią czuwał sam profesor.

– Czemu przyniosłaś mi tę okropną koszulę? Tych biszkoptów nie lubię, kup takie w kształcie jęczmyków. A co te rzeczy takie pogniecione? Musisz je jeszcze raz wyprasować, bo wyglądają, jakbyś wyjęła je psu z gardła. Mama siedzi na łóżku jak królowa, podparta poduszkami, w koszuli całej w pięknie wyprasowanych, na szczęście nie przeze mnie, tylko przez panią Bronię, koronkach i ocenia dary, które składam u jej stóp. I zarządza, bezustannie zarządza, z braku liczniejszego dworu zarządza mną, bez chwili wytchnienia. Pod moją

nieobecność zarządza salowymi i pielęgniarkami, za każdą usługę wkładając im do kieszeni dwu- lub pięciozłotówkę, zapas tych monet codziennie jej dostarczam. Ale teraz jestem ja i muszę wystarczyć za cały personel, a właściwie za całą trupę teatralną. Gram córkę, spektakl przeznaczony dla reszty pacjentek znajdujących się w sali, autor scenariusza, reżyser i centralna postać dramatu to moja mama, która dba o to, by jego przesłanie było dla wszystkich czytelne i całą sobą zdaje się mówić: spójrzcie, córka zrobi dla mnie wszystko, bo tak dobrze ją wychowałam, bo tak mnie kocha, bo docenia, jaką wspaniałą byłam i jestem matką. Zobaczcie, tylko przez przypadek leżę w tej sali, gdzie może leżeć każdy, ja mogłabym leżeć na łożu królewskim, bo na to zasługuję. Gram swoją rolę najlepiej jak umiem, zrobię wszystko, co mama mi każe, pozwolę jej odegrać ten spektakl do końca, nikt nie zagra mojej roli tak dobrze jak ja, ale na jedno nie mogę się zdobyć. – No, nie bądź taka ponura, czemu się nie uśmiechasz? – szepcze mama, a ja udaję, że nie słyszę, nic na to nie poradzę, że na uśmiech i radosne paplanie, które nadałoby lekkości mojej roli, nie mogę się zdobyć. Dwoję się i troję, ale z ponurą miną, której nie umiem zdjąć ze swojej twarzy. – Czemu się tak marszczysz, uśmiechnij się – mówi mama. – Mówiłam paniom, że mam ładną córkę, a ty jesteś cały czas skrzywiona. Jak się uśmiechasz, wyglądasz dużo lepiej, no, uśmiechnij się, nie bądź taka ponura. – Nie mogę, mam, nie mam siły – odpowiadam i rzeczywiście czuję się strasznie zmęczona, bołą mnie nogi, gdy krok za krokiem prowadzę mamę do łazienki, bołą mnie ręce, gdy myję jej głowę, czuję się jak w dzieciństwie, jak marionetka pociągana za sznurki, podaj, podnieś, popraw, przynieś, uważaj co robisz, przecież woda naleje mi się do oczu, taki stan, w którym zanikają własne chęci, pragnienia, potrzeby, nie ma na nie miejsca, mnie nie ma, wiele lat minęło, nim uwierzyłam, że i ja mam prawo czegoś chcieć, co nie znaczy, że wiedziałam czego, to nie takie proste, z rozpoznawaniem własnych pragnień jest jak z gimnastyką akrobatyczną, jeśli nie zaczniesz wcześniej trenować, nie masz szans, ale przynajmniej wiedziałam już, że moje chęci byłyby tak samo ważne jak chęci innych, gdybym tylko umiała je rozpoznać, ale teraz znów przestaję w to wierzyć, nie mam żadnych chęci, mnie nie ma, jest tylko córka, która próbuje spełnić niekończące się życzenia swojej matki i nawet nie potrafi się uśmiechnąć.

Czekam pod drzwiami gabinetu lekarki, która mamę prowadzi, w końcu wchodzi, mama jest naprawdę bardzo chora, oczywiście wiedziałyśmy, że jest chora, ale nie że aż tak, konieczna jest transfuzja i leki, i morfina, przerzuty są wszędzie, jest niedobrze, nie wiadomo, ile mama pożyje, może rok, może dwa, może kilka miesięcy, wracam do mamy, co mówiła pani doktor? Że konieczna jest transfuzja i dadzą ci nowe leki przeciwbólowe i nowe leczenie, szybko poczujesz się lepiej. Nie mówiła, że umrę? Każdy kiedyś umrze, mam, mówię i przytulam ją mocno do siebie. Łza kapie na jej włosy. Są coraz rzadsze, ale mama za nic nie poddałaby się chemii, żeby ich do reszty nie stracić. Jest kobietą i nie wyobraża sobie, że mogłaby nią być bez włosów. Cieszy się, że lekarze nie proponują jej chemii. Nie proponują dlatego, że mogłaby jej nie przeżyć, ale o tym mama chyba woli nie wiedzieć.

Z mamą jest gorzej, codziennie wiele godzin spędzam w szpitalu, ledwie wyrabiam się z pracą, a właściwie nie wyrabiam się, myję mamę, karmię, przebieram, mama w szpitalu kompletnie straciła samodzielność, jakby w ogóle zapomniała, że potrafi chodzić, do łazienki nie może iść sama, bo tam wieje, muszę najpierw zamknąć okno, więc jak mnie nie ma, to tam nie chodzi, mam, musisz się ruszać, inaczej osłabniesz i będziesz się czuła coraz gorzej, ale mama nie chce się ruszać, z rzadka udaje mi się namówić ją na spacer po korytarzu, idziemy krok za krokiem, dla mnie, która właśnie tu przybiegłam, która nie poruszam się inaczej niż biegiem, to męka, z trudem wyhamowuję i poruszam się krok za krokiem, ale w końcu narasta we mnie napięcie, ratunku, nie mogę tak spokojnie dreptać, muszę biec do psów, do dziecka, do mojego życia, którego już w ogóle nie mam, ale nie biegnę, idę krok za krokiem, a mama opowiada mi ploteczki o paniach ze swojej sali. Jest taka biedna i taka

nieznośna, chcę z nią być jak najdłużej, a jednocześnie nie mam cierpliwości, nie mam siły. Nie wiem, jak inni sobie radzą z opieką nad chorymi rodzicami, nawet jeśli inne matki są mniej wymagające, to i tak starzy ludzie potrzebują opieki, a jak się mają nimi opiekować ci, którzy pracują? Kiedy mają pracować, nie mówiąc o życiu? A może niepotrzebnie narzekam? Ledwie, ledwie, ale chwilami do mnie dociera, że wkrótce będę tęskniła do wizyt w szpitalu, do tej mamy, coraz mniejszej, a zajmującej coraz więcej miejsca w moim życiu.

## Wspólne mieszkanie

Zawsze żyłam, jakby Bóg na mnie patrzył, choć przyznaję, chwilami zapomniałam o tym, że patrzy albo liczył na jego miłosierdzie, a teraz patrzy na mnie moja mama. Siedzi naprzeciwko mnie i patrzy. Ja siedzę na stołku kuchennym przy biurku i próbuję pracować, ale cały czas czuję na sobie jej wzrok. Chowam się w komputer, choć na chwilę chcę być sama, niech nikt ode mnie nic nie chce, niech nikt na mnie nie patrzy, dlaczego ona nie jest w swoim pokoju, który jej oddałam, tam nie mogę się schować, bo to jej pokój, tu nie mam chwili spokoju, gra telewizor, a ona siedzi naprzeciwko mnie i patrzy na mnie. Spokojnie, chcę popracować, muszę o niej choć na chwilę zapomnieć, żeby się skupić. Jeśli oderwę oczy od monitora i spojrzę na nią, nasze oczy spotkają się, to da jej prawo, żeby do mnie zagadać, wiesz, kochanie, nie chcę ci przeszkadzać, ale skoro już się oderwałaś, to zrób sobie krótką przerwę, bo czas na kolację, więc chowam się w komputer, nie odrywam wzroku od ekranu, żeby choć trochę popracować, ale nie mogę się skupić, czekam, kiedy mi przerwie, myśli rozbiegają się, a ja czekam niechętnie na jej słowa, które przerwą mi pracę, choć i tak nie pracuję. W końcu odrywam wzrok od monitora i patrzę na nią, a ona patrzy w telewizor i niczego ode mnie nie chce, siedzi cichutko, nieświadoma moich myśli, jest taka mała, starość wygnała ją z własnego domu, zdała na łaskę i niełaskę córki, czuję się jak zła macocha bez serca dla biednej sieroty. Wstaję od komputera, siadam obok mamy na kanapie, mój fotel stoi tam, gdzie chciała, ale ona siedzi zwykle na kanapie, na której siadam i ja i obejmuję ją ramieniem. Jest taka maleńka, a jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że zajmuje cały pokój. – Mamusku, co ci zrobić na kolację? – pytam. – A wiesz, napiłabym się herbaty, ale niedużo, zrób mi tylko pół szklanki. A potem rozmawiamy, pole rozmowy skurczone do bezpiecznych granic jedzenia, nigdy nie umiałyśmy rozmawiać, każda próba prowadziła do kłótni, teraz rozmowa krąży wokół tego, na co mama ma ochotę, mama zwykle ma ochotę na potrawę z dzieciństwa, wraca tam chętnie myślami, wycofuje się ze świata, który jest dla niej coraz mniej zrozumiały, coraz mniej godny zaufania, wręcz pełen pułapek. Choćby ekspres do kawy, który psuje się po pierwszej próbie samodzielnego użycia. – Mamo, dlaczego wsypałaś kawę tu, gdzie się leje wodę – pytam po powrocie z pracy. – Przecież on działa na tej samej zasadzie co twój, na którym się dobrze znasz, różnią się tylko wielkością i kolorem. – Pomyliło mi się, przepraszam – mówi mama, a mi wstyd, że tak na nią napadłam, panna mądralińska, co to umie kawę zaparzyć w ekspresie, w końcu kiedyś każdemu może się pomylić.

Dziś od rana próbowałam pracować w pracy, do mamy miała przyjść pani Bronia. I przyszła, ale nie miała kluczy, a mama nie umiała otworzyć drzwi, więc pani Bronia zadzwoniła do mnie, ja do mamy, na szczęście wczoraj zrobiłyśmy powtórkę z odbierania telefonu, przypomniałam mamie, że na początku rozmowy trzeba wcisnąć zieloną słuchawkę, a na końcu czerwoną, ciekawe, czy producent pomyślał o tym, jak te małe śliczne słuchaweczki ma zobaczyć stara kobieta, której jedno oko opada po zapaleniu nerwu twarzowego, nabawiła się tego w szpitalu, trzeba czekać, może samo przejdzie, ale mama już umie posługiwać się tymi słuchawkami, całe szczęście, byle tylko doszła do telefonu,



widziałam, jak spiesz się wsparta na kuli, spokojnie, mówiłam w myślach, spokojnie, nie spiesz się, poczekam, pewnie już doszła, teraz szuka zielonej słuchawki, by ją wcisnąć, nim jej wytłumaczyłam tę sztuczkę ze słuchawkami, które ledwie widać, próbowała się przed tym obronić, nie przyznać do swojej bezradności, przecież mam komórkę, ten telefon nie jest mi potrzebny, ale mam, to proste, mówiłam, bo jej komórka ciągle się rozładowywała, a ona na to, że jej to niepotrzebne, porozmawiamy, jak wrócisz do domu, widzę ten kończący rozmowę ruch ręką, jak opędzanie się od muchy, ten ruch przejęła od ojca, mojego ojca, a swojego męża, nim umarł, coraz częściej opędzał się przed natrętnym światem, tym gestem teraz mama próbuje się ratować przed moją natarczywością, pełne zniecierpliwienia machnięcie, które mówi: dajcie mi spokój, nie obchodzą mnie te wasze wynalazki, mogę się bez nich obejść; powinnam ją zrozumieć, sama do tej pory nie nauczyłam się nagrywać na wideo, zresztą mama jeszcze nie rezygnuje, chce nadażyć za światem, któregoś dnia pyta mnie, gdzie trzymam internet, tu siedzi mama, trzymam go w komputerze, jak będziesz chciała, to któregoś wieczoru razem posurfujemy, w końcu mama mówi halo, pani Bronia stoi za drzwiami, a ja tłumaczę mamie, jak je otworzyć, pamiętasz, pokazywałam ci, nie denerwuj się, ale ona nie daje rady, nie wie, która zasuwa i w którą stronę, a obydwie są tak strasznie wysoko, niech Bronia idzie, ona sama posiedzi i zrobi sobie coś do jedzenia, spokojnie, zaraz będę, co tam praca, praca nie zajac, zaraz przyjadę i otworzę, dzwonię do Broni, żeby poczekała, z drogi śledzie, bo jadę, pędzę co koń wyskoczy, żeby wyswobodzić moją mamę zamkniętą w twierdzy, nie miałam pojęcia, ile zasadzek czyha na starą kobietę w domu, który starałam się dla niej wyomścić.

W niedzielę mama czuła się wyjątkowo dobrze, więc wybrałyśmy się do kościoła. Kościół jest tuż za rogiem, ale dla mamy to cała wyprawa. Wolałaby, żebym zawiozła ją samochodem, ale byłam pewna, że to nie ma sensu, przecież kościół jest tuż za rogiem, wsiadanie i wysiadanie z samochodu byłoby bardziej uciążliwe niż przejście tych 200 metrów. Mama z trudem pogodziła się z moją decyzją. Szła o kulach, a ja trzymałam ją pod rękę. Szliśmy krok za krokiem, noga za nogą, ludzie mijali nas pospiesznie, bo suma już się zaczynała, gdy byliśmy w połowie drogi.

– Ale wieje – powiedziała mama. Dzień był ciepły, ale rzeczywiście wiało. – Czy nie ma jakiejś drogi na skróty? – zapytała tuż przed zakretem, za którym znajdował się kościół. – Nie ma, mam, kościół jest tuż za rogiem. – Może można przejść przez ten budynek? – wskazała na budynek stojący na rogu, przez który przejście, nawet gdyby było możliwe, nie byłoby żadnym skrótem.

– Nie można – odpowiedziałam.

– A sprawdziłaś? – zapytała mama. – Gdybyśmy szły przez budynek, przynajmniej by nie wiało.

– Nie możemy przejść przez czyjeś mieszkania – odpowiedziałam zniecierpliwionym tonem. Ale wtedy przypomniało mi się, jak codziennie w drodze do szkoły marzyłam, żeby z góry zwisały liany, za pomocą których mogłabym przeskakiwać kilkanaście metrów naraz, zamiast krok po kroku przemierzać wciąż tę samą drogę. Albo ten pomysł z jeżdżącym łóżkiem, który przychodził mi do głowy co rano po wyłączeniu budzika. Więc czemu mama nie ma prawa marzyć o skrótach? Można by zrobić podkop pod tym domem, który oddzielają od kościoła. – Jeszcze tylko kawałeczek, mam – powiedziałam z większym zrozumieniem i szliśmy dalej, noga za nogą, aż zobaczyłam, że ta droga wcale nie jest taka krótka.

W końcu dotarłyśmy. Mama, ubrana w swój nowy elegancki płaszcz, wsparta na kulach wkroczyła do przedsionka i stanęła naprzeciw ołtarza, nie chcąc iść dalej po śliskiej posadzce. I gdy tak stała, podtrzymywana przeze mnie za ramię, proboszcz, wskazując na nią, szepnął coś wikaremu. Czułam, że coś się święci. Wikary odszedł od ołtarza i podszedł do nas, a raczej do mamy i powiedział: proboszcz zaprasza panią do przodu, tam są miejsca.

– Dziękuję, ale tam nie pójdę – mama odmówiła zdecydowanie. – Boję się, bo posadzka jest śliska.

Wikary stropił się, ale szybko wpadł na pomysł, jak zadowolić i mamę, i księdza proboszcza. Oddalił się na chwilę i wrócił, triumfalnie niosąc krzesło. Proszę, niech pani usiądzie. O tu, żeby dobrze widzieć. I postawił krzesło na wprost ołtarza, dokładnie naprzeciwko Jezusa Chrystusa. Mama usiadła, podtrzymywana przeze mnie i podała mi swoje kule. Czułam podniosłość tej sceny. Po jednej stronie kościoła Jezus Chrystus na krzyżu, po drugiej, dokładnie naprzeciwko, moja matka na krześle. Stałam trochę z tyłu, trzymając te kule i czułam się jak Maria Magdalena przy Chrystusie, trwałam przy swojej matce, gotowa spełniać wszelkie jej życzenia. A gdy doszło do komunii, ksiądz podszedł do mamy i dał jej opłatek. Cofnęłam się o pół kroku, tego wymagała dramaturgia tej sceny. Moja matka na krześle i ksiądz, dający jej hostię, ja skryta w cieniu, gotowa służyć pomocą, podtrzymać ją w razie potrzeby. Gdy po mszy pomogłam mamie wstać z krzesła, ktoś z wiernych chwycił je usłużnie, by odnieść, inni zaś rozstąpili się przed nią jak Morze Czerwone. I mama szła jak Mojżesz, wsparta na kulach, a ja podtrzymując ją lekko za łokieć, dreptałam za nią, próbując zgadnąć, co takiego jest w mojej matce, co każe księdzu przerwać mszę, a ludziom się rozstąpić.

– Strasznie wieje – mówi mama w drodze powrotnej. Martwię się, żeby się nie przeziębila, choć sama nawet nie zauważyłabym tego wiatru. Ale mama jest taka słaba, choć przed chwilą, naprzeciw Chrystusa, wydawała się potężna jak On.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI